

AGNIESZKA BRONIKOWSKA-BALEWSKA DOKOŁA SZCZĘŚCIA



Reportaże z udanego życia
Ewy Bronikowskiej

SEKOJA

DOOKOŁA
SZCZĘŚCIA

REPORTAŻE Z UDANEGO ŻYCIA
EWY BRONIKOWSKIEJ

AGNIESZKA BRONIKOWSKA-BALEWSKA

DOOKOŁA SZCZĘŚCIA

REPORTAŻE Z UDANEGO ŻYCIA
EWY BRONIKOWSKIEJ



OLSZTYN 2024

Redakcja i korekta

ANNA POPIS-WITKOWSKA

Projekt okładki

KOZOROG & MANUL

Zdjęcia na okładce

ARCHIWUM PRYWATNE EWY BRONIKOWSKIEJ

MARKUS SPISKE / PIXABAY

Skład

SEQOJA

Wersje EPUB i MOBI

E-BOOKOWO

Copyright © by AGNIESZKA BRONIKOWSKA-BALEWSKA 2024
Copyright © for this edition by Wydawnictwo SEQOJA 2024

ISBN: 978-83-67935-25-8

Wydawnictwo SEQOJA
ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn
tel. 534 834 852
e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl
www.seqojawydawnictwo.pl

OLSZTYN 2024

WYDANIE I

*Po przeczytaniu skontaktuj się z przyjaciółmi i znajomymi,
gdyż każda lektura właściwie wybrana może być
przyczyną odzyskania radości lub zdrowia.*

Księga Wyjścia. Na początku była niewinność

Zaczęło się od Wiosny, która nagle zniknęła. W altance, gdzie siedziałam, pisząc zadany tekst, zapadła cisza.

– Nie wierzę! – powiedziałam do siebie i tknięta przecuciem zajrzałam pod spory kamienny cokół, na którym postawiona była altana. W szparze błysnęły psie oczy. – Wiosno kochana, dlaczego ty tam znowu wlaźłaś? – bardziej jęknęłam, niż zapytałam.

Przeszło mi przez głowę, by zawołać właścicieli psa, Anię i Mateusza, ale szybko zarzuciłam ten pomysł. Wszyscy, którzy przyjechali na warsztaty, rozpierzchli się gdzieś w procesie pisania. Już pierwszego dnia zdarzyła się dokładnie taka sama sytuacja. Wówczas, przy użyciu jakichś łomów do podważania kamieni, panowie bardzo się nagimnastykowali, by wspomnianą Wiosnę wyciągnąć. Chciałam uniknąć podobnej akcji. Przyjrzałam się szczelinom, wypatrując jakiejś nieco większej od innych, przez którą Wiosna musiała wejść, a teraz również musiałyby się przez nią wydostać.

Zaczęłam mówić do suchki, tak jak zwykłam przemawiać do swojej ośmioletniej córki, ilekroć ma

problem i próbujemy jakoś temu zaradzić. Dodawałam Wiośnie otuchy i z pełnym przekonaniem zapewniałam, że skoro tam weszła, to zdoła stamtąd również wyjść.

– Jesteś piękną, mądrą Wiosną! – szeptałam czule. Wiele zachęcających słów, których teraz już nie pamiętam, płynęło strumieniem w jej kierunku jak czysta woda.

Chyba była spragniona, przesunęła się w miejsce, przez które najprawdopodobniej wcześniej się przecisnęła, jednak zawróciła zrezygnowana. Podjęłam drugą próbę motywacyjną, może nawet użyłam mocy, jaką obdarzona była Miłorada, znająca mowę zwierząt wróżka z ukochanej książki dzieciństwa. Wiosna wreszcie wyszła, a mnie ogarnęła niepojęta radość. Cieszyłam się jak dziecko, bo najzwyczajniej w tej właśnie chwili byłam dzieckiem.

W Góry Izerskie przyjechałam z duszą na ramieniu i „certyfikatem” w formie SMS-a od przyjaciółki zapewniającej, że na warsztatach z pisania na pewno popiszę się talentem. Gdy Wiosna zapadła się pod altanę, początkowo tego nie zauważyłam. Był ostatni dzień naszego pobytu w Wolimierzu. Właśnie zawędrowałam w głąb siebie, a pomysły napływały swobodnie jak atrament z kałamarza. Głaskałam suczkę machinalnie, która podeszła złąkniona kontaktu, wkrótce jednak położyła się obok i zasnęła. W ciszy górskiego otoczenia, przy akompaniamencie oddechu zwierzęcia artystyczna wena zaczęła mnie unosić. Tak to poczułam. Pochwyciłam rękę kogoś, dzięki komu mogłam znów ogarniać wzrokiem

ogromne przestrzenie. Tym kimś byłam ja sama, dziewczynka z biblioteki siedząca na poduszkach w osiedlowym domu kultury, pierwszym i nieskażonym źródle twórczego natchnienia. W czasach dzieciństwa miałam tam przewodniczkę do świata wyobraźni, z którego coś mnie potem wyprowadziło na zewnątrz, w „dziwny (...) ten świat, gdzie jeszcze wciąż mieści się tyle zła”. Warsztaty z procesu pisania, które umożliwiły mi przebywanie w kręgu ludzi literatury, przywróciły bezcenne uczucie niewinności. Znalazłam szczelinę w czasie, wąskie przejście, którym przedostałam się z wieku pozornie dojrzałego do prawdy dziecka i świata widzianego jego oczami. Akcja ratunkowa z psem objawiła mi się jako symboliczne odzyskiwanie twórczego ducha. Jedną Wiosną rozpałam w sobie pasję i powołałam siebie na powrót do tworzenia, wyciągając się z marazmu jak baron von Münchhausen za włosy z bagna.

Po powrocie rozmyślałam o książce, jaką chciałabym napisać, a moje myśli unosiły się nad prozą życia. Kiedy zadzwoniła mama, od razu wiedziałam, że będzie to opowieść o niej. Pierwotnie zamierzałam stworzyć wyjątkowy przewodnik – w podwójnym tego słowa znaczeniu – po świecie. Oczywiście widziałam już tekst o spełnionej kobiecie, niesamowitej pilotce wycieczek w czasach PRL-u i latach późniejszych, a równocześnie świetnej przewodniczce przez życie, od której jako córka wiele się nauczyłam. Z czasem wizja

nabrała własnych kształtów i treści, a książka, by tak rzec, obrała własną drogę rozwoju.

Mamie i mnie przyszło przemierzać podobne szlaki, obie studiowałyśmy polonistykę. Ona chciała być nauczycielką, ja pisarką. Język stał się naszą „małą ojczyzną”, w której mogłyśmy być razem na zawsze. Spisane tu opowieści widziane z tej perspektywy to rodzinne siedlisko złożone ze wspólnych przygód, przeżyć i rozmów, które z mamą przeprowadziłam, by ocalić nas od zapomnienia.

Początki odnajdujemy w chwili, w której się nimi wydają, lecz za moment odkrywamy je gdzie indziej – i wówczas wyznaczamy je na nowo. To czas układu z nich najlepsze konstelacje.

***Welcome to the real world* – jak przekroczyć granicę**

Nie mogę tego pamiętać, nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy młoda kobieta z dziećmi szła wybrzeżem Morza Bałtyckiego naprzeciw wielkiej niewiadomej. Scena, w której doszło do spotkania dwóch światów, była tak surrealistyczna, a zarazem tak prawdziwa, że mogłaby stanowić początek przypowieści.

Był rok 1972. Świat analogowy, miejscowość Rowy nad morzem. Dwaj chłopcy ochlapywali się wodą i wykrzykiwali coś do siebie, tyle, ile potrafili dwu- i

trzylatek. Ich mama w czerwonym stroju kąpielowym spoglądała to na synów, to daleko przed siebie, ponad ich głowami. Właśnie ruszyła z chłopcami na spacer brzegiem, kiedy do jej uszu dotarł nagle entuzjastyczny okrzyk zbliżającego się mężczyzny.

– *Bonsoir! Bonsoir!* – rozległo się na plaży głośne wołanie elegancko ubranego jegomościa. – *Madame! Bonsoir, madame!*

Co się dzieje? Przed spacerującą z dziećmi kobietą wyrósł jak spod ziemi znany jedynie ze zdjęć krewny od strony matki, z uśmiechem szerokim niczym świat. Oto monsieur Józef we własnej osobie, który samochodem marki Peugeot przyjechał z Francji, by poznać polską rodzinę i przekonać się na własne oczy, jak wspaniale funkcjonuje komunizm. Gnany ciekawością, kim jest kuzynka Ewa, o której listowne wieści z Polski donosiły, że została profesorką, postanowił Ewę odwiedzić. Dopiął swego i znalazł ją na polskim wybrzeżu.

Kuzyna, o czym dowiaduję się, słuchając zaskakujących wspomnień mamy, ciągnęło „do swoich” jak wilka do lasu. Józef, syn Marii, siostry Franciszki, czyli mojej babki od strony mamy, wychowywał się we Francji. Maria w czasie historycznego „okna pogodowego” przed drugą wojną światową dotarła do kraju nad Sekwaną, gdzie zajęła się zacieraniem śladów swojego polskiego pochodzenia. Jej dzieciom nie wolno było mówić po polsku, by nie traktowano rodziny jak pariasów. Józef nie

miał zbyt wiele okazji, by zaczerpnąć soków z korzeni polskich, a ewidentnie odczuwał takie pragnienie. W końcu przyszedł czas, kiedy chwycił ster – a w zasadzie kierownicę¹ – i przy pomocy papierowej wersji GPS dotarł do Polski. Miał trzydzieści trzy lata, moja mama niewiele mniej, kiedy się w Rowach po raz pierwszy zobaczyli. Lepiej późno niż wcale, jak chce przysłowie, im jednak zrobiło się trochę żal, że nie mieli okazji, by poznać się „za młodu”.

Tak się zatem złożyło, że dwa przeciwne wektory naszły na siebie u wybrzeży zimnego Bałtyku w czasie trwania zimnej wojny. Jeden wyznaczał kierunek stamtąd tu, drugi stąd tam. Józefa ciągnęło do bloku wschodniego, Ewę zdecydowanie na Zachód.

„Nie pytaj gdzie, ale kiedy” – powiedział Morfeusz, bohater filmu *Matrix*, do wybrańca Neo.

„Kiedy” może być dużo ważniejszym pytaniem nie tylko dla ratowania świata, jak ma to miejsce w filmie, ale też dla próby zrozumienia, co się na nim dzieje, a przede wszystkim – co się dzieje ze mną na tym świecie.

Nie wiem, jak mogłaby przebiegać na mapach tamtego czasu linia oddzielająca prawdziwe życie od iluzji, marzeń czy ideologicznych systemów, ale cieszę się, że kuzynostwo się rozpoznało. Spotkanie na plaży w Rowach

¹ Kuzyn Józef z żoną i dwójką dzieci zjeździł pamiętnego lata sporą część Polski. Ludzie robili sobie zdjęcia z jego zielonym peugeotem. Może wśród czytelników jest nawet ktoś, kto został uwieczniony na takim zdjęciu.

wnosi cenny wkład prywatnych historii do wielkiej opowieści o zwykłych ludziach. Tymczasem Historia przez duże „H” jeszcze niejednym Ewę i Józefa zaskoczy.



Zdj. 1. Rowy. Rodzice, żona Józefa i dzieci

My, dzieci z klatki PRL

Jak w siermiężnej codzienności lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku powiązać marzenia młodej kobiety z Rogoźna z realiami, jeśli odległość między nimi to jak dystans z nieba do ziemi? A jak w latach siedemdziesiątych powiązać koniec z końcem, gdy nie widać finału ponurego dramatu pod tytułem *PRL za żelazną kurtyną*, a wśród widzów tej osobliwej sztuki jest czworo dzieci, które są głodne i mają w odniesieniu do jedzenia plany co najmniej pięcioletnie?

Pierwszego uczył ją dziadek Wincenty, ukochany towarzysz, a także mentor w czasach dzieciństwa i młodości. Z kolei życzliwa nauczycielka geografii w cieszącym się dobrą sławą rogozieńskim liceum wypowiedziała słowa, które przybliżyły niebo nastoletniej Broni i wybrane zostały na dewizę życia: „Jeśli czujesz, że dzieje się jakaś niesprawiedliwość, że ktoś ocenia cię ze względu na pochodzenie, status czy sytuację rodzinną, wejdź w to od środka. Ucz się nadal, tak samo pilnie, i sama zostań nauczycielką. Może to właśnie ty będziesz mogła być dla innych przewodniczką”. Dyskretna i szeroko pojęta opieka pedagoga nad bystrą uczennicą, której zapal bardzo cenila, pokierowała dalszymi krokami Broni. Więż między nimi okazała się niezwykle trwała oraz pomocna dla obu kobiet.

Bronisława Mikołajczyk, bohaterka zebranych tu opowieści, w chwili wkroczenia w dorosłość rozpoczęła epokę wytyczania pionierskich szlaków. Pożegnawszy w urzędzie rogozieński stygmat biedy, „Bronicha-kicha”, bo tak właśnie ją tam nazywano, teraz już jako Ewa Bronikowska, żona Henryka, zamieszkała w Poznaniu, gdzie jako pierwsza z rodziny podjęła studia, a także pracę w szkole. Cały czas umiejętnie przetwarzała cenne nauki dziadka Wincentego, gdyż jej marzeniom nie było końca, tak jak nie było końca PRL-owi. Dziadek zakreślił wnuczce pole działania w słowach, które często powtarzał: „Patrz do przodu, żebyś zajął daleko. Patrz do tyłu, żebyś nie

zapomniała, skąd przyszedłaś. Patrz na prawo, byś mogła być wdzięczna tym, którzy ci pomogli. Patrz na lewo, żeby zobaczyć tych, którym sama możesz pomóc”.

Jedno było pewne, wiedziała od zawsze, że chce zobaczyć świat. Ruszyć nie tylko z Rogoźna czy z Poznania, ale „ruszyć Słońce i wstrzymać Ziemię”, czyli dokonać w swoim losie przewrotu podobnej rangi co odkrycie Kopernika. By to zrobić, wzięła się na poważnie – choć i na wesoło – z odwagą i determinacją za wyprowadzenie gromadki swoich dzieci na ludzi, a bardziej jeszcze do ludzi. Dla nas, jej czworga pociech: Michała, Pawła, Joanny i Agnieszki, oznaczało to, że oto stajemy się świadkami, więcej: uczestnikami podróży z tysiąca i jednej nocy, wydostawani w niepojętych okolicznościach z klatki swojego bloku w wielki świat będący dla nas jak kosmos czy inny wymiar, poza granice naszej wyobraźni.

Życie rodziców, dwojga awanturników, których nosiło po świecie od najmłodszych lat wspólnie spędzonych w Rogoźnie (Bronia i Heniu chodzili do jednej klasy), było niczym adaptacja *Podróży za jeden uśmiech*, książki z czasów ich młodości, lepsza niż film. Fantastyczne przygody mieli od zawsze, zanim jeszcze szeroki świat otworzył przed nimi drzwi i padły słowa: „Wsiadaj, bracie, dalej, hop!”.

W osiemdziesiąt tysięcy kilometrów dookoła Polski (1979-1983)

Kochałam tego malucha! Chyba po prostu lubiłam, gdy wszyscy nim jechaliśmy, choć etap, kiedy czworo dzieci mieściło się z tyłu, szybko przeminął.

Przyznam, że wszechobecnych dzisiaj kodów do różnego rodzaju szczęścia technologiczno-ekonomicznego nie potrafię zapamiętać, ale rejestrację naszego pierwszego samochodu podaję bezbłędnie, nawet obudzona w środku nocy: POG 6103. Nasz beżowy maluch był jak członek rodziny. Gdy jechaliśmy pod górkę, przemawiałam czułym głosem: „Dasz radę, maluszkule! Jeszcze troszeczkę!” – i żałowałam taty, który prowadził, przekonana, że męczą się razem z autem. Od tego niewielkiego samochodu wszystko się tak naprawdę zaczęło. Fiat 126p pojawił się w naszej rodzinie w 1979 roku, niewiele czasu po mnie. To było jak wygranie losu na loterii, a ściślej – wymarzonego talonu. W tamtych czasach, chcąc kupić samochód, trzeba było najpierw otrzymać talon, co graniczyło z cudem. I cud się zdarzył. Oto zwykli śmiertelnicy Ewa i Henryk, którzy nie tylko nie mieli talonu, ale i pieniędzy, zakradli się w rejony rzeczywistości dostępnej jedynie wybrancom, nie wierząc, że słowo „samochód” ciałem się w ich życiu staje. Jak udało im się wejść w posiadanie auta?

Najprawdopodobniej zadecydowała cudowna koincydencja zdarzeń i skojarzeń.

W październiku 1978 roku u moich rodziców w mieszkaniu na Osiedlu Wielkiego Października pojawili się z polecenia znajomej ludzie pracujący w ministerstwie. Przyjechali do Poznania na międzynarodowe targi i trafili do nas na nocleg. Załatwiła to koleżanka mamy, czyli „ciocia targowa”. Tak nazwaliśmy panią Danusię w związku z coca-colą, którą nas częstowała, gdy odwiedzaliśmy ją w pawilonie targów. Danusia chciała stworzyć rodzicom okazję do zarobienia i podała ludziom z Warszawy nasz adres.

W mieszkaniu, które liczyło ni mniej, ni więcej czterdzieści osiem metrów kwadratowych, zostali rodzice i bracia, mnie z siostrą upchnięto na noc do cioci, by zwolnić jeden z trzech pokojów. Goście targowi zachwycali się „klimatycznym” noclegiem i „takimi grzecznymi chłopcami”. Pawełek nawijał im do śniadania o samochodach, pasji, która towarzyszy mu do dzisiaj. Uprzejmi oraz obyci warszawiacy, zanim wyjechali, zadali niewinne z pozoru pytanie, dlaczego rodzice nie postarają się dla nas o samochód. Mamę może by i ogarnął pusty śmiech na te słowa, ale nie miała nigdy takich skłonności, wołała raczej śmiech pełną piersią. Zachęcona przez nobliwe towarzystwo i nieodmiennie skłonna skorzystać z najdziwniejszej nawet rady, w dniu swoich urodzin, piętnastego grudnia, siadła do stołu i napisała do

ministerstwa list z prośbą. Dokładnie tak jak zasugerowali ministerialni pracownicy. W liście, który do złudzenia przypominał prośbę do Świętego Mikołaja, poprosiła o prezent na urodziny, czyli o talon na samochód. Pisać umiała zawsze, słowami, które na podobieństwo strzał Amora trafiały prosto w serce. Naturalna, autentyczna i niczym nieskrępowana w swoich odważnych posunięciach, jak również w sugestywnym prezentowaniu marzeń, mama była jak wolny strzelec na Dzikim Wschodzie. Wolny i wyborowy! Nie wiem, kto jej list wówczas przeczytał, ale nie dziwi mnie, że nie potrafił oprzeć się roztaczanym tam wizjom – nikt by tego nie potrafił. Talon sfrunął z komunistycznego nieba w okolicach wiosny jako zapowiedź nadchodzących przygód.

Był jeszcze problem gotówki, ale i ten znalazł rozwiązanie w połączeniu niewielkich oszczędności rodziców i wielkiej przyjaźni, ale nie polsko-radzieckiej, lecz z koleżanką z Rogoźna. Mila, której mąż kował kuł żelazo, póki gorące, i niczym król Midas zamieniał w złoto... znaczy: złotówki, wsparła marzycieli. Do spłaty pożyczki na pralkę, której Mila już wcześniej im użyczyła, doszły teraz raty za samochód. Przyjaciółka ze szkolnych lat dzielnie i stanowczo odpierała desperackie próby rodziców, którzy chcieli odsprzedać jej auto w obliczu góry nazbieranych długów. „Nie chcę tego malucha, ma służyć waszej rodzinie. Spłacie, kiedy zdołacie”, powtarzała niezłomna Mila.

Kto by wtedy pomyślał, że banki wyrosną po latach jak grzyby po deszczu i że „znajomość” z nimi będzie już zupełnie inaczej procentować.

Mniej więcej w czasie, w jakim miała miejsce wizyta ludzi z Warszawy na poznańskich targach, mama otrzymała za swoją pracę w szkole nagrodę ministra oświaty. Po latach jedna z jej przyjaciółek przypomniała sobie o tym i zasugerowała, że pewnie wpłynęło to na decyzję o przyznaniu rodzicom talonu na samochód. Jeśli tak rzeczywiście było, czego już się nie dowiemy, to chętnie sparafrazuję na tę okoliczność znane przysłowie: „Ucz się, ucz, a zdobędziesz do samochodu klucz!”.

Rodzice zabrali nas wszystkich na istną wyprawę Argonautów. Pojechalśmy pociągiem do Warszawy po uroczysty odbiór talonu. Mama już snuła plany i roztaczała wizje powrotu do domu własnym samochodem. Tymczasem na miejscu odprawiono nas z kwitkiem, na pociechę dodając cukierki dla „słodkiej gromadki”. Zupełnie jak w naszej ulubionej lekturze rodzinnej, książce Oty Pavla zatytułowanej *Śmierć pięknych saren*, gdzie główny bohater, który liczy na to, że wreszcie będzie mógł nakarmić swoją rodzinę, musi pogodzić się z faktem, że nic takiego się nie zdarzy, bowiem mimo obietnic: „Prosiaka nie będzie!”.

W Warszawie przekonaliśmy się, że działa komunikacja, jako że dokonała się transakcja słowna, a potem i rzeczywista wymiana materialna. Pracownik

urzędu, zobaczywszy naszą rodzinę, zasugerował mianowicie rodzicom, by zrezygnowali z talonu na syrenę i od ręki załatwili sobie talon na małego fiata.

– Lepsze auto i lepiej się potem sprzeda – doradzał.

– Ale widzi pan, ile mamy dzieci, małym fiatem nie będę mógł jeździć ze wszystkimi. – Tata się wahał.

– Syreną też pan nie będzie mógł – podsumował obrotny urzędnik i już po chwili osobiście pomagał w wymianie talonów.

Beżowy mały fiat 126p przez wiele lat wywoził nas w kolorowy świat przygód, a jako spiritus movens podróży małych i dużych przejechał z nami osiemdziesiąt tysięcy kilometrów! Wszystko po Polsce. Na razie.



Zdj. 2. Maluchy, słodkie maluchy! Wakacje, słodkie, wakacje!

Autostop po raz pierwszy

Zapadły mi w pamięć wakacje w Bieszczadach, kiedy dojechała do nas z Poznania przyjaciółka mamy, ciocia Renia. Wszyscy razem, w siedem osób, jechaliśmy do drewnianego kościoła położonego gdzieś w górach. Zatrzymani przez milicjanta łgaliśmy na gorąco, że ciocia to autostopowiczka z dzieckiem, a „nasz tata chciał pomóc, bo pani nie miała się jak dostać z małą na mszę”. „Małą”

miałam być ja, jako że ciocia trzymała mnie na kolanach. Milicjant nieświadomie wypowiedział jedno z celniejszych spostrzeżeń na temat mojego taty.

– Widzę, że ma pan wyjątkowo dobre serce. – Po czym przykazał mniej miłosierdzia przy zabieraniu pasażerów i puścił dalej w drogę, machając nam wesoło na pożegnanie.

Z Bieszczad pamiętam fantastyczne zabawy z mieszkającymi tam Grekami, ogromne jagody zbierane do metalowych kubków i nieokiełznaną radość dzieci, „doładnie dzikich”, jak powiedziałyby malutka Kirstein z mojej ukochanej lektury dzieciństwa *Dzieci z Bullerbyn*. Wokół pełno było takich „doładnie dzikich”, wolnych stworzeń, małych i dużych.

Scen folklorystycznych na wakacyjnych szlakach było sporo. Pewnego razu jechaliśmy z tatą gdzieś w górach, aż tu zza zakrętu nagle wyłoniła się karczma. Głodni jak smok – to ulubione wyjazdowe porównanie taty – wpadliśmy więc do środka na obiad. Miałam wtedy sześć lat i w podróży prowadziłam dziennik, chcąc na bieżąco referować nieobecnej mamie przygody, jakie nas spotykały. Zanotowałam tego dnia zdanie do dzisiaj cieszące się sławą w rodzinie: „Na obiad były wlaczki”. Wątpię, bym to ostre danie jadła z ochotą, lecz cóż było robić, w karczmie serwowano tylko to, a w okolicy nie znaleźliśmy innej jadłodajni. Wszyscy byli po tym obiedzie spragnieni jak smok! Mina taty musiała być nietęga, gdy

na pytanie, czy mają tu coś do picia, usłyszał wesołe zapewnienie karczmarza:

– Oczywiście! Jest piwo. Ile podać?

Innego lata maluch dowiózł nas w Beskidy, do magicznego schroniska o nazwie

Zaolziańska². Z otwartego na poddaszu okna, gdzie nas po tanioci ułokowano, dolatywała mikstura szczęśliwego dzieciństwa: zapach kaszki manny, bulgotanie gotowanej grzałką wody i charakterystyczny motyw muzyczny „Lata z radiem”. Wczesnym rankiem chodziliśmy po mleko od krowy, drogą z kocich łbów, podskakując z kankami w rękach, na pewno przynajmniej w jedną stronę, kiedy kanki były puste. Ta droga w mojej pamięci nigdy się nie kończy, bo tak dobrze się nią szło, że nie chce mi się z niej schodzić w ogóle.

Trzeba przyznać, że i naszemu maluchowi miło upłynęły wczesne lata. Chciał jednak wypuścić się dalej, ruszyć w świat, gdyż jego silnik doskonale rezonował z sercami właścicieli, jakby auto podzielało ich marzenia. Tak doskonale, że fiat zignorował wysiłki zapobiegliwego kierowcy i nie skorzystał z części zapasowych, które ten

² Szkolne Schronisko Młodzieżowe „Zaolziańska” na terenie Istebnej-Zaolzia dzisiaj niestety już nie funkcjonuje. W 2022 roku budynek schroniska został wpisany do rejestru zabytków województwa śląskiego. Cieszę się, że zdążyłam jeszcze pokazać mężowi Pawłowi, co dla mnie znaczy i gdzie się znajduje mój „topos miejsca szczęśliwego”.

załadował po skraj widoczności w lusterku, kiedy rodzice pierwszy raz, tylko we dwoje, wyjechali za granicę.

Zapraszając mamę do wspomnień i rozmów o rodzinnych wyjazdach, wybrałam się w podróż w nieznane. Na ścieżkach pamięci zaczął niespodziewanie pojawiać się nieżyjący od dawna tata, znalazłam się tam także ja sama jako dziewczynka. Bardzo mnie to poruszyło. Pomysł napisania książki przeszedł niepostrzeżenie z etapu raczkowania w fazę usamodzielniania się. Przyznam, że bardzo mi się to spodobało, jakbym chwyciła za rękę kogoś, z kim dobrze się wędruje.

A teraz pewna wskazówka. Na mapach rozwieszonych w miejskich gablotach czy na turystycznych szlakach zaznaczony jest zwykle punkt opisany jako: „Tu jesteś”. Gdybym miała powiedzieć, co stało się w obszarze moich wspomnień, musiałabym nanieść punkt z podpisem: „Stąd dałam się poprowadzić”. Opowieści mamy zaczęły stopniowo nabierać ducha i wypełniać się powietrzem jak balon, do którego chce się wskoczyć i po prostu polecieć.

Uwierzyłam, że można z lotu ptaka zobaczyć miniony czas i siebie w nim.

Miesiąc miodowy 2.0, czyli Turcja-Grecja (1984)

